NUMER 21. LWÓW, DNIA 15. GRUDNIA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi: w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie w kopertach 4 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 5 franków.
W Ameryce 1 dolar.

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ulica Miłkowskiego l. II.
Filia Administracyi: Kraków, Grodzka l. 50.

Z pamiętnika Józia Gajka

ucznia I. klasy gimn.

(Ciąg dalszy).

Więc zaraz przystąpił do jednego pana, który przechodził i powiedział: Panie! i chciał dalej mówić, ale pan krzyknął: Ruszaj, bo zawołam policyanta! I Kubuś strasznie się przestraszył i zaczął uciekać, biegł, biegł, aż Jaś już nie mógł dalej i wtedy stanął, a potem znowu szli prędko i znowu stanęli i znowu szli. I tu już się miasto kończyło i zaczynały się małe domki z ogródkami. A dalej był taki wielki ogród, a w środku śliczny domek. I z tego ogrodu słychać było jakieś wesołe krzyki i wrzawę. Więc tam stanęli i popatrzyli, co to jest. A tam było pełno chłopców małych i bawili się ślicznie i mieli czaka kolorowe na głowie i szabelki w ręku i trąbili i bębnili, a jeden był jenerałem, bo on komenderował i mówił: „Na ramię broń, do nogi broń, naprzód marsz“! I tak ślicznie się bawili. I Jaś patrzał się na to i śmiał się z radości, a Kubuś oparł głowę o sztachety i patrzał i myślał: To są takie same chłopcy, jak ja. Ja muszę do nich iść. Jeśli oni mi nie uwierzą, to już nikt mi nie uwierzy. Oni mi pomogą, bo to takie dzieci, jak ja przecie. I chwycił Jasia za rękę i wszedł do ogrodu. Wtedy pan jenerał zakomenderował: Broń do ataku, dalej na wroga! Ale Kubuś krzyknął: Zlitujcie się, ja nie wróg! I wtedy jenerał kazał opuścić broń i zapytał: Jeśli nie jesteś wróg, to powiedz, po coś tu przyszedł? I Kubuś zaczął opowiadać, opowiadał wszystko, wszystko, z początku nieśmiało, a potem coraz śmielej i nic nie opuścił. A tymczasem szereg wojskowy zaczął się łamać, jeden chłopczyk zaczął bardzo głaskać Jasia i pocałował go w buzię, drugi zaczął coś szukać po kieszeniach i dał mu jabłko, trzeci zaczął mówić do Kubusia Mój chłopczyku, nie martw się ja powiem tatusiowi, to on ci da pieniędzy, mój chłopczyku A pan jenerał nic nie mówił, bo płakał i łzy mu kapały na mundur. A potem cały oddział z panem jenerałem poszedł do domu do tatusia, aby opowiedzieć, co się stało i prosić o pomoc. I wnet przyszedł jeden starszy pan z siwymi wąsami i jedna siwa pani w okularach i ten pan zaczął się pytać Kubusia, czy to prawda, co mu syn opowiadał i różne mu dawał pytania, a Kubuś na wszystko odpowiadał. I wtedy ten pan powiedział, że się zapyta, a jak to wszystko będzie prawda, to mu pomoże. Ale dzieci zaczęły wołać: Mój panie, zaraz! zaraz! A jenerał wołał: tatusiu, zaraz, bo on taki biedny, on będzie myślał, że i ty go wypędzisz, on się będzie bał, tatusiu, on już tyle przeszedł, on już nie może więcej — i zaczął płakać. A Kubuś myślał, że go znów chcą wypędzić, kiedy ten dobry chłopiec tak musi prosić za nim i że już teraz nigdzie nie będzie ratunku dla Jasia, jak go wypędzą, więc nagle zacisnął rączkę i zaczął wołać z płaczem: Panie, panie, nie wypędzaj mnie, bo już nie mam gdzie pójść z Jasiem i on zginie! Nie mam jeść dla niego, nie mam spać gdzie, a nikt mi nie chce pomódz, bo ja taki mały. On teraz mówi ten Jaś tak ładnie i on już przestanie mówić i chodzić i będzie blady, bo on już będzie nieżywy i wcale się nie będzie ruszał ten mój Jaś, o! jak pan nas wypędzi! Mnie nikt nie chce wierzyć, bo ja mały, ale ja naprawdę będę pracował, co umiem i ja już mam dwanaście lat i wnet będę duży i będę robił wszystko, wszystko. I ja bardzo mało potrzebuję, tylko taki kącik do spania dla Jasia i dla mnie, taki bardzo malutki kącik! I ja jem nie dużo, bo ciotka mało dawała, to ja się

już przyzwyczaił, panie, panie! A wtem patrzy Kubuś, że i ta pani w okularach płacze, a ten pan wyjął chustkę i coś bardzo tak nos siąka. I nagle ta pani chwyciła Kubusia i zaczęła go ściskać i całować i mówiła: Nie martw się już, już się skończyło twoje nieszczęście, już u nas zostaniesz, tylko nie płacz! A ten pan mówił do pani: Co to on ma za wymowę! Taki mały a tak wszystko opowiedział, co czuje. A ta pani powiedziała: To dlatego, bo on kocha swego brata. To kochanie tak go nauczyło mówić. I potem odeszli ci państwo, a dzieci zaczęły Kubusiowi i Jasiowi znosić różne dobre rzeczy i jeden chłopczyk włożył Jasiowi swoje czako na głowę i powiedział, że to jego i Jaś się śmiał wesoło i szczebiotał i patrzał na śliczne rzeczy w ogrodzie, na kwiaty, na altankę, na huśtawkę, a Kubuś też się śmiał, ale cicho siedział, bo nie chciał jeszcze sobie wierzyć, że to wszystko straszne minęło. A potem przyszedł służący i przyniósł dwa kubki gorącego mleka i bardzo im smakowało. A na drugi dzień Kubuś już w nowych spodenkach i bluzce ogrodniczej pomagał ogrodnikowi kopać ziemię pod jarzyny i patrzał wesoło na Jasia, który razem z innymi chłopcami bawił się w wojsko. Raz, dwa! Raz, dwa! W lewo, w prawo, w prawo, w lewo! A ponieważ wiedziano, jak wytrwałym był Jaś w swojej podróży z bratem, więc w nagrodę za wytrwałość w pochodach pieszych i w znoszeniu niebezpieczeństw, mianowano go odrazu oficerem.

Alfons Daudet (czytaj Dode).

Nadzwyczajne przygody imci pana Tartarin'a z Taraskonu.

(Z francuskiego).

(Ciąg dalszy.)

III. Gdzie Turcy?

Dzień był piękny, słoneczny. Po porcie kręciło się pięć do sześciu urzędników celnych. Kilku Algierów zbliżyło się do przybyszów, by zaciągnąć najnowszych wiadomości z Francyi. Kilku Maurów patrzyło z dala na wyładowanie okrętu. Rybacy kurzyli fajki i rozciągali na brzegu zmoczone siecie, w których wiło się tysiące sardynek, niby srebrne paski.

Zaledwie wstąpił Tartarin na brzegi Algieru — ożywiło się nagle w porcie. Otoczyła go odrazu cała banda krajowców, jeszcze ohydniejszych od tych, którzy przewieźli go na łodzi. W jednej chwili zaskoczyła go zgraja arabskich olbrzymów i małych maurytańskich chłopców obdartych, wpółnagich, murzynów i mulatów. Wszyscy śmiali się, krzyczeli, chwytali go za ręce, za poły surduta, za kołnierz — bili się o jego pakunki, jedni porwali konserwy, drudzy aptekę podróżną i każdy z wrzaskiem i krzykiem nie do opisania wymieniał mu najdziwaczniejsze nazwy hotelu lub gospody.

Tartarin był w rozpaczy. Prosił, błagał, pytał, łajał, klął, zaklinał — zwracał się to w tę, to w tamtą stronę: niechby przynajmniej wszystkie pakunki razem pozostały!

Nie mógł wytłumaczyć tego tym niecywilizowanym hordom — nie rozumiano go zgoła! Mówił po francusku, po prowensalsku *), ba! nawet po łacinie!

Bo trzeba Wam wiedzieć, że łacina, której uczył się był w gimnazyum, nie wywietrzała mu jeszcze zupełnie z głowy. Pamiętał dobrze: rosa — róża, bonus, bona, bonum — dobry, dobra, dobre i..... na tem koniec!...

Daremnie się trudził — nikt go nie rozumiał!

Szczęściem przyszedł wnet człowiek w surducie ze złotym kołnierzem, który trzymał duży kij w ręku. Jak bożek olimpijski, z opowiadań Homera, zjawił się nagle przed stroskanym Tartarinem. Długim swym kijem rozprószył natrętne tłumy.

Był to policyant algierski. Wielce uprzejmie zwrócił się do Tartarina i polecił mu „Hotel Europejski“. Przywołał dwóch posługaczy hotelowych i zarządził, by zawieźli wszystkie pakunki na dwóch wozach, w największym porządku do hotelu.

Tuż za wozami postępowała poważnie sława Taraskonu.

* * *

Jakież rozczarowanie! To ma być Algier? „Miasto na Wschodzie“ w wyobraźni Tartarina malowało się zawsze w jaskrawych, fantastycznych barwach. To musi być coś pośredniego między Konstantynopolem a Zanzibarem — myślał nieraz. Ale Algier! — nie! to być nie może! Tartarin nie dowierzał oczom swoim! Przed nim rozciągały się szerokie, brukowane ulice, restauracye, kawiarnie, czteropiątrowe kamienice — zupełnie jak we Francyi, zupełnie jak w Taraskonie! W ładnym kiosku, po środku placu grała muzyka — zwykła muzyka instrumentalna, skrzypce, bas, flet, trąby — zupełnie jak w Taraskonie! A grała w dodatku znaną polkę Offenbacha! W pobliżu kiosku stał przed kawiarnią rząd eleganckich krzeseł — na nich siedzieli panowie i popijali kawę lub piwo. Opodal przechadzały się wystrojone panie — tu i ówdzie widać było kilku żołnierzy.

Ależ Turcy, Turcy! Gdzież są Turcy? Nie widać ani jednego! W tem otoczeniu czuł się Tartarin jedynym przedstawicielem Wschodu!

Na ulicy zwracał mąż z Taraskonu powszechną uwagę. Kędy przechodził — wszyscy oglądali się na niego. Zdziwienie i zaciekawienie malowało się na twarzy algierskiej publiczności.

*) Narzecze, którem mówią w południowej Francyi.

Nawet muzyka na widok jego grać przestała, skrzypce, flety, basy, trąby, spoczęły bezczynnie w ręku artystów, a skoczną nutę urwaną w pół tonie zagłuszył wnet turkot uliczny.

Obie strzelby na ramieniu, rewolwer w futerale — tak kroczył Tartarin poważnie, spokojnie, dumnie i hardo, jak Robinson Kruzoe. Ludzi jakby nie widział, na tłum ciekawych nie patrzał wcale. Ale gdy przestąpił już szczęśliwie próg hotelu — opuściły go nagle siły. Wyjazd z Taraskonu, port w Marsylii, przeprawa, książę Montenegro, korsarze, wszystko, co widział i słyszał, co przebolał i przecierpiał, poczęło plątać się w jego umyśle. W uszach szumiało mu i huczało, tańczyło przed oczyma.

Z wielkim wysiłkiem szedł po schodach. Z trudem rozebrał się w swoim pokoju i upadł na łóżko.

W hotelu powstało zamieszanie. Służba naradzała się, czy nie posłać po lekarza? Sam właściciel udał się pospiesznie do pokoju Tartarina. Nieszczęśliwy podróżny leżał bez ruchu na łóżku i..... chrapał głośno. Widząc to, gospodarz uspokoił się i wyszedł na palcach z pokoju.

C. d. n.

Marya Konopnicka.

Stach.

A gdy poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu trąbki złote
Na zwycięstwo, na ochotę!

A gdy poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zdroje,
Zahuczało kłosów pole
Na tęsknotę, na niedolę.

A na wojnie — świszczą kule
Lud się wali — niby snopy...
A najdzielniej biją króle!
A najgęściej lecą chłopy....

Biją surmy ołowiane —
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy.
Stach śmiertelną dostał ranę.
Król — na zamek wraca zdrowy!

I gdy wchodził w jasne wrota,
Wyszła przeciw zorza złota
I zagrały wszystkie dzwony
Na słoneczne świata strony!

A gdy chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa w dali,
Zadzwoniły przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liliowe.

O szlachetnym psie i niedobrym człowieku.

Żył sobie przed laty człowiek, który trudnił się sprzedawaniem jarzyn. Mieszkał sam jeden w ubogiej izdebce, nie miał ani żony, ani dzieci, a jedynym towarzyszem jego, był ogromny pies, który ciągnął wóz z jarzynami.

Ciężkie to było życie — smutne, szare, jednostajne, nie osłodzone żadnym promykiem radości. To też nie dziw, że człowiek nasz shardział, stwardniał, wieczna chmura osiadła na jego czole, stał się ponury, gburowaty i niedobry.

Razu pewnego wyjechał tak z wózkiem naładowanym jarzynami. Było to w zimie. Cienka powłoka lodu pokrywała ulice. Pies ślizgał się, potykał co chwila i ciągnął z wielkim wysiłkiem swoje brzemię.

Kupiec rozgniewał się — spieszno mu było Porwał za koniec powrozu i uderzył nim psa z całej siły.

Biedne zwierzę zaskomlało boleśnie: powróz trafił w oko... uczynił je kaleką.

Ilekroć odtąd spojrzał na pana, jedynem swem okiem, smutno i żałośnie — odczuwał kupiec ciężkie wyrzuty sumienia. Nie mógł sobie darować swej brutalności! Jakże ciężko żałował teraz, że dał unieść się gniewnem uczuciom! Nie mógł wprost patrzeć na niego — i postanowił sprzedać go za jakąkolwiekbądź cenę.

Niedługo czekał na kupca — zaprowadził tam psa i powrócił do domu.

Tego samego wieczora czuł się chorym Wstrząsały nim dreszcze — potem czuł nagle duszność i gorąco, to też położył się wcześniej niż zazwyczaj.

W nocy pogorszyło mu się znacznie, majaczył w gorączce — obraz psa z okrwawionem okiem stał mu bezustannie przed oczyma.

Nazajutrz — była to niedziela — czuł się tak osłabionym, że nie mógł wcale wstać z łóżka. Straszne pragnienie trapiło go — a nie miał nikogo, któryby podał mu szklankę wody! Biedny człowiek odchodził od przytomności.

Wtem nagle.. posłyszał znajome skomlenie — uczuł, że coś mu rękę liże. To go ocuciło, patrzy... i widzi psa, którego sprzedał z rana, jak skomli radośnie przy jego łożu. Kawał urwanego sznura wisiał na jego szyi — nowy właściciel przywiązał go snać, ale pies wyrwał się z uwięzi.

Kupiec zawstydził się bardzo — przywiązanie psa wzruszyło go do głębi, wyrzucał sobie gorżko czyn tak ohydny, nie wiedział, jak wynagrodzić psu doznanej krzywdy?

Wzruszenie to osłabiło go bardzo i znowu stracił przytomność.

Tym razem nie był samotny — miał przy sobie wiernego przyjaciela. Mądre zwierzę przywołało sąsiadów i tym sposobem uratowało pana.

Jerzy Stephenson.

9 czerwca 1881 ulice miasta Newcastle przystroiły się odświętnie. Wysokie słupy, ozdobione czerwonem suknem, chorągwie, wieńce, flagi — powiewały wszędzie.

Cztery tysięce osób rozmaitych stanów, szło zwartym szeregiem ze sztandarami i flagami. Długi szereg wozów kolejowych umajonych, ozdobionych tarczami, posuwał się zwolna, tryumfalnie. Z głównego dworca kolejowego Newcastle, szeregował się inny pochód, dziwny i niezwykły: szesnaście najpiękniejszych lokomotyw, połączonych ze sobą! Jakże wspaniale wyglądały oczyszczone, błyszczące, z jaśniejącą miedzią, w której odbijały się promienie słońca.

Tak uroczyście obchodzono w Anglii setną rocznicę urodzin Jerzego Stephensona.

* * *

W domu Roberta Stephensona, maszynisty przy kopalni węgla, chowało się sześcioro dzieci. Biedny ojciec pracował ciężko na wyżywienie tak licznej rodziny. To też dzieci jego za wczasu musiały zabrać się do pracy.

Mały Jerzy zanosił ojcu jedzenie do kopalni, pilnował młodsze rodzeństwo, pasł krowy, skrobał ziemniaki i najmywał się do wszelkiej lżejszej roboty. W wolnych chwilach — ulepiał z gliny małe maszyny, podobne do tych, które widział u ojca w kopalni. To było jego ulubionem zajęciem.

Robert Stephenson lubił niezwykle zwierzęta — Jerzy miał to samo upodobanie. Chodował ptaki i króliki i miał psa, który słynął z mądrości na całą okolicę.

Gdy podrósł nieco — pomagał ojcu przy maszynie, a sprawował się tak dzielnie, że przełożony podwyższył mu wkrótce płacę. Jakże dumny i szczęśliwy był Jerzy w dniu, w którym po raz pierwszy otrzymał dwanaście, zamiast sześciu szelingów! „Jestem już dorosłym człowiekiem!“ — zawołał wzruszony chłopak.

W siedmnastym roku życia został przełożonym swojego ojca — stary Robert pozostał nadal maszynistą, a Jerzemu oddano naczelny dozór maszyny, która pompowała wodę z kopalni. Jakże ukochał tę swoją maszynę! Czyścił ją, doglądał, pilnował każdej śrubki — nigdy nie widziano tak dobrze dozorowanej maszyny! A po dniu żmudnej pracy — chodził Jerzy do szkoły wieczornej, bo choć doszedł już lat ośmnastu, nie umiał ani czytać, ani pisać. I nie dziw: w czasach owych nie było szkół dla biednych ludzi! Chłopak uczył się gorliwie, wydawał na książki grosz ciężko zapracowany.

Powoli dochodził Jerzy Stephenson sławy dzielnego mechanika. Pewnego razu wybuchł ogień kominkowy w jego mieszkaniu. Nad kominkiem wisiał zegar, który okopcił się tak przy tym wypadku, że kółka przyprószone sadzą nie mogły się już poruszać. Jerzy zdjął zegar ze ściany, rozebrał wszystkie kółka, wyczyścił je i znowu złożył w porządku. Widząc to sąsiad, dał mu i swój zegar do naprawy. Wkrótce dobył się Jerzy sławy znakomitego zegarmistrza.

W kilka lat później woda zalała pewną kopalnię. Wylew był olbrzymi. Pompy pracowały dniem i nocą przez rok cały — ale nadaremnie — niepodobna było osuszyć podziemnych krużganków! Jerzy usłyszał o tym strasznym wypadku, zaofiarował się do pomocy i zbadawszy dokładnie teren, przyrzekł, że w ciągu tygodnia wypompuje wodę. Jakoż rzeczywiście wywiązał się pomyślnie z tego zadania. Od tego czasu powierzono jego pieczy wszystkie maszyny kopalni.

W czasach owych nie było jeszcze kolei żelaznych. Ludzie podróżowali pieszo, albo w powozach.

Watt, wynalazca maszyny parowej, mówił, że możnaby wybudować wozy siłą pary ciągnione — ale nie próbował tego nigdy. Widząc rozmaite nieudolne próby parowych wozów — Jerzy Stephenson zabrał się też do roboty.

Po upływie dziesięciu miesięcy, wybudował lokomotywę, która zdolną była pociągnąć za sobą ośm wagonów ciężko naładowanych.

Nie poprzestając na tem, Jerzy Stephenson coraz bardziej doskonalił swoje dzieło.

W trzy lata później uchwalił parlament angielski, że należy wybudować kolej żelazną między Manchesterem, miastem słynnem z wyrobów bawełnianych a Liwerpolem. Ogłoszono konkurs na wybudowanie najlepszej lokomotywy. Jerzy Stephenson wraz z synem swoim Robertem wybudował maszynę, zwaną „Rocker“, której przyznano jednogłośnie pierwszeństwo.

Prawdziwy tryumf święciły lokomotywy Stephensonów w dniu otwarcia pierwszej w Anglii i w Europie linii kolejowej, 15 września 1830 r.! Tłumy publiczności zjechały do Liwerpola. Ośm lokomotyw najstaranniejszej roboty stało jedna za drugą. Na przedzie „Northumbrian“, którą prowadził sędziwy już podówczas Jerzy Stephenson, za nią „Feniks“, na którą wstąpił młody syn jego Robert, dalej „Gwiazda północy“ z bratem Jerzego. „Rocker“ i inne ustawione były z tyłu.

Sześćset ludzi brało udział w tej niezwykłej przejazdce, przebywając z szybkością dwudziestu pięciu mil na godzinę! Niepodobna opisać zdumienia publiczności, unoszonej po raz pierwszy w dziejach świata w tak szalonym pędzie! Czemże przytem konie najbardziej rącze? Żelazne rumaki z turkotem, świstem, sykiem pędziły przez pola i błonia, przez mosty i tunele, a Europa cała zdumiona, zdziwiona pierwszy raz patrzała na podobne zjawisko!

LAS.



Chata rodziców Maryśki leżała niedaleko lasu. Marysia była już dużą, prawie dorosłą dziewczyną. Chodziła do szkoły, pasła krowy, w polu nawet nieraz pomogła, ale niechno tylko chwilkę wolną znajdzie, zaraz biegnie do lasu.

— Las — to raj — mawiała Marysia, ale nie umiała wytłómaczyć, co jej się tam tak podoba. W lesie robiło się Marysi tak dobrze, miło, przyjemnie.

Wielkie kiście bladoróżowych kwiatów rozsiewały woń migdałową, Marysia wdechiwała tę woń.

Kukułki, zięby, sikory, krzyżodzióby, śpiewały w zawody. Zdawało się, że las drga tym śpiewem.

W Marysi — jak to powiadają — dusza rosła. — Cudnie! cudnie! Nie mówiła sobie tego tak całkiem wyraźnie. Znała tylko las i wioskę, nie wiedziała, jak wygląda zakurzona miejska ulica bez listka zieleni, więc nie czuła tego, co miejskie dziecko w lesie odczuwa, ale dobrze jej było w tym przecudnym, zielonym, pachnącym, rozśpiewanym gaju, dobrze nad wszelki wyraz. Myślała sobie: jak można żyć bez lasu!

Nie była w lesie wcale samotną i nie błądziła. Las był nie wielki, a Marysia odwiedzała w nim znajomych: tu gniazdko sikorki, tam rudzika, tu krzyżodzióby — tam zięby, w tej norce zając — w tamtej lis, w tej dziópli wiewiórka zapasy nazbierała — a tam opodal zawsze okazuje jej się sarna — pewno to tam jej mieszkanie.

Jak ci Marysia zacznie podczas takiej wycieczki do gniazd zaglądać! — czy to już z tych jajek, które zeszłego tygodnia były, powylęgały się ptaszki, czy w tamtem gniazdku ptaszęta już latać próbują? gdy Marysia po zrębie skacze za grzybami, poziomkami, zagląda, czy z pęczów rozwinęły się już kwiaty — to już do domu wracać zapomina.

— Co tam widziałaś Maryś w lesie? — pytały zaciekawione dzieci, gdy wracała późno do domu.

Wówczas Maryś na przyżbie siadała i opowiadała dzieciom: Wiecie, w gniazdku zięby są już jajka, lis ma młode, zająca dawno nie widziałam, może to tego Maciej w zeszłym tygodniu zastrzelił; stary rudzik umarł i leży pod gniazdem, już zbierają się koło niego te chrząszcze grabarze, pewnie go do jutra pogrzebią. Opowiadała tak Maryś bez końca nowiny z lasu i dzieje jego mieszkańców. Mówiła o śpiewie ptaków i o ich przygodach. — Dzwonka pod dębem już nie ma, przewrócił go kret, z gniazdka makolągwy wyrzuciła kukułka jajko, dziópla wiewiórki już prawie pełną jest zapasów.

Marysia opowiadała tak płynnie, jakby z książki czytała dzieci były zasłuchane, jak w bajkę czarodziejską.

Opowiadanie Marysi było ładniejszem od bajki — bo prawdziwem a nie zmyślonem. Kasia



biedna sierotka, która u rodziców Marysi była na służbie, podparła się o ścianę, a gdy Marysia opowiadała, patrzyła Kasia w stronę lasu, a po wyrazie jej oczu poznać można było, jak ją porusza opowiadanie. Widocznie Kasia żal miała do kukułki, do kreta, współczuwała z rudzikiem, który umarł i szczerze oburzała się na Macieja o to, że zastrzelił zająca.

Pewnego razu mały Iwaś, braciszek Marysi, tak bardzo pragnął sam zobaczyć, czy sikorczęta już wylatują z gniazd, że wzięła go ze sobą do lasu. Nuż we dwoje zaczęły dzieci las przebiegać przetrząsać, odwiedzać, słuchać, zaglądać, aż około południa Iwaś na nogach ze znużenia już utrzymać się nie mógł i prosi: Maryś, zanieś mnie, bo iść już nie mogę. Marysia wzięła go „na barana“, ale zanim go doniosła do domu, chrapał smacznie. Śnił mu się szum lasu, woń kwiatów i świergot ptasząt. Ostrożnie ułożyła go Marysia, tak, że się nie obudził, ale ze snu po chwili gwałtownie wołał na jastrzębia: puść wiewiórkę! puść wiewiórkę!

Straszną rzecz Iwaś w lesie widział: jastrząb rzucił się na wiewiórkę, — ale szczęściem, że zwierzątko choć skrwawione, umknęło mu w porę.

Co czytać?

W ostatnim numerze „Promyka“ poleciliśmy już Czytelnikom naszym w wieku od lat 9 do 12 „Latarenkę“. Przez pomyłkę jednak nie wydrukowano bliższych szczegółów o tej prześlicznej książeczce. Wyszła ona w Krakowie nakładem „Naprzodu“, „Latarni“ i „Kolejarza“. „Latarenka“ jest prawdziwie pięknym podarkiem dla polskich dzieci, złożyły się na nią pióra wybitnych pisarzy, a piękne, specyalnie kolorowane ilustracye wykonało kilku z najbardziej uzdolnionych malarzy dni dzisiejszych. Nie jest to zwykła, przeciętna książeczka dla dzieci, ale istotnie starannie, odpowiednio do pewnych wymagań artystycznych wydane dziełko. „Latarenka“ jest pierwszą polską książeczką dla dzieci, która nie roztacza przed nami świata dzieci bogatych, nie mówi o wynoszeniu się lepiej odzianej dziewczynki nad uboższą, o dobrym chłopcu, który zamiast kupić sobie cukierków, daje dziadowi jałmużnę. Nie. „Latarenka“ rzeczywiście szeroki horyzont przed nami roztacza, mówi o dzieciach biednych, a szlachetnych naprawdę, zdolnych i bohaterskich, o biednym Julku, który daremnie marzy o choince — nigdy mu jej matka sprawić nie mogła; o dzielnym młynarczyku, który choć go moskale nahajem obili, przedziera się nocą przez las do garstki powstańców, opowiada tam wodzowi o sile nieprzyjaciela i ratuje tych wszystkich ludzi! W „Latarence“ opisanem jest, jak to „Marysia Gęsiareczka“ nie miała czasu, by do szkoły chodzić, bo gęsi paść musiała, więc brała elementarz ze sobą na łąkę i uczyła się sama przy pracy, przy gęsiach, a duszę miała tak tkliwą, a pilności tyle, że została sławną poetką. Przecudnem jest w „Latarence“ opowiadanie o robotniczym chłopaku, który z bohaterstwem niezrównanem daje się rozstrzelać podczas rewolucyi w Paryżu i o drugim, który podczas rozruchów za rządów Ludwika Filipa wśród gradu kul zbierał na ulicy naboje i zanosił je na barykady, by się lud dłużej mógł obronić! O takich to dzieciach opowiada „Latarenka“, a postać każdą przedstawia Czytelnikom żywo piękna ilustracya.

Cenną tą książeczkę nabyć mogą z łatwością wszystkie dzieci, gdyż kosztuje ona tylko 40 halerzy.

Anna Załęska: „Dobre Dzieci“ nakładem Paprockiego i Spki w Warszawie bardzo piękna i polecenia godna książeczka dla dzieci od lat 9 lub 10 do 13.

„Moje pierwsze powiastki“ napisała prozą Ciocia Jadwiga, nakładem Guranowskiego w Warszawie. Jest to bardzo ładna i ładnie ilustrowana książeczka dla malutkich dzieci od lat 3 do 6, w której nawet bardzo wrażliwe dzieci nic nie przerazi.

„Ach jaka Książeczka“, nakładem Paprockiego w Warszawie, bardzo ładne wydawnictwo odpowiednie dla dzieci od lat 4 do 6.

„Wesoły Zwierzyniec“ napisał wierszem Józef Jankowski, nakładem księgarni Paprockiego w Warszawie. Jest to prześlicznie ilustrowana książeczka z króciutkiemi wierszykami dla małych dzieci od lat 3 do 5-ciu.

Również dla tak małych dzieci polecamy książeczki ilustrowane z wierszykami Heleny Bojarskiej, wydane nakładem księgarni Rychlińskiego i Wagnera w Łodzi, jak „Wesołe gromadki“, „Śliczności“ i inne. Mają one bardzo odpowiedni wąski a długi format, który nie łatwo się drze.

Rocznik „Promyka“ zbroszurowany, można nabyć u nas w redakcyi „Promyka“, o ile zapas starczy.

Czytelnicy nasi mogą nabyć ilustrowany „Kalendarz Promyka na r. 1905“ po cenie zniżonej, 50 halerzy wraz z przesyłką.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Sabince A. w Tarnopolu. Czemu Sabińcia tak rzadko rozwiązanie zagadek przysyła? Proszę posyłać częściej a z pewnością nie minie jej nagroda.

Maryi H. w Przemyślu. Miło nam bardzo, że kalendarzyk podoba się Mani. Zagadka bardzo ładna pomieszczamy ją w tym numerze,

Lorci i Brońci N. w Tarnopolu. Nagroda skrzyżowała się zapewne w drodze z Waszym listem. Bardzo nas to cieszy, że się Wam podoba?

Leonowi M. w Stanisławowie. Dziękujemy bardzo za tyle zagadek. Żądany numer wysyłamy równocześnie. Cieszy nas to nadzwyczaj, że Kalendarz „Promyka“ tak się Czytelnikom podoba!

Wilhelm S. w Stryju. Czy przesyłka nasza doszła Wilusia?

Tosi S. we Lwowie. Dziękujemy serdecznie za tak miły i starannie napisany list. Zapałki były ślicznie narysowane, a i zagadki tym razem znowu bardzo dobre.

Czytelniczce H. we Lwowie. Nr. 11 „Promyka“ wysłaliśmy; czy doszedł?

WP. Franciszek R. w Karwinie. Stosownie do zapytania odpowiadamy, że obojętnem nam jest, czy prenumerata dochodzi nas przekazem, czyli też w znaczkach pocztowych.

Niusi M. w Krakowie zasyła „Promyk“ serdeczne uściski,

Rozwiązanie zagadek Nr. 20-go:

ZAGADKA

nadesłana przez Stasia S. z Przemyśla.

O - SA - KA.

KRZYŻ MAGICZNY

nadesłała Biała Lilijka ze Lwowa.

1) S
2) N I Ć
3) K R E T A
4) W I N N I K I
5) F R A N K F U R T
6) S I E N K I E W I C Z
7) W Y C I E C Z K A
8) G I E W O N T
9) M N I C H
10) A C H
11) Z

SZARADA

ułożył Leoś M. ze Stanisławowa.

TOGI NOGI

(Przez pomyłkę wydrukowano „u“ zamiast „n“, za co najmocniej Czytelników przepraszamy).

ŁAMIGŁÓWKA

ułożona przez Romcię Z. ze Lwowa.

V I I I

Rozwiązanie zagadek Nr. 20 nadesłali:

Sabińcia A. z Tarnopola, Mania H. z Przemyśla, Leon M. ze Stanisławowa, Tosia S. ze Lwowa. Fabian R. z Jasła, Salo G. z Tarnopola i Lorcia i Brońcia N. z Tarnopola.

Książeczkę St. Kramsztyka p. t. „Doświadczenia fizyczne bez przyrządów“ (wydanie drugie) dostaje Tosia S. ze Lwowa.

Zagadki.

ZAGADKA

nadesłana przez Tosię S. ze Lwowa.

1) . . + . . 1) Miasto na Litwie.
2) . . + . . 2) Sławne dzieło poety polskiego XVI w.
3) . . + . . 3) Mocarstwo w Europie.
4) . . + . . 4) Miasto w Wielkopolsce.
5) . . + . . 5) Rzeka.
6) . . + . . 6) Użyteczna roślina.
7) . . + . . 7) Góral karpacki.
8) . . + . . 8) Kielich.
9) . . + . . 9) Praca w polu.
10) . . + . . 10) Zamek historyczny.
11) . . + . . 11) Gatunek ziemi.
12) . . + . . 12) Instrument muzyczny.
13) . . + . . 13) Dawny wróg Polaków.

Miejsca oznaczone krzyżykiem, czytane z góry na dół, dadzą wyraz życzeniu!

SZARADA

nadesłana przez Maryę H. z Przemyśla.

Pierwsze z drugiem: naród koczowniczy,
Drugie z trzeciem: śliwka, której brak słodyczy
Pierwsze z trzeciem: jedna z części mowy,
Trzecie z drugiem: gdy kto nie jest zdrowy.
Wszystko rośnie w polu, zbiera je się w lesie,
A co to takiego? — pewno odgadniecie.

SZARADA

ułożona przez Leona M. ze Stanisławowa.

Ze „z“ wyraz grzeczności
Z „i“ nie lubi czystości,

W nagrodę za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy ładny kalendarzyk ścienny.

Kącik dla małych dzieci.

Dobry przykład.

Wańdzię nazywano w całym domu „dobrym przykładem“ dla wszystkich dzieci, a każda mamusia przystawała chętnie na to, aby się jej dziecko z Wańdzią bawiło, bo myślała sobie: „Będzie miało dobry przykład“. Mamusia i tatuś Wańdzi cieszyli się bardzo, że mają taką grzeczną córeczkę.

Opowiemy Wam o tej przyjemnej dziewczynce. Wańdzia nigdy się nie nudziła, nigdy nie wałęsała się po kątach, ani po kanapie. A wiecie dlaczego? — Bo zajmywała się swoim młodszym braciszkiem Adasiem, jakby jaka mała mamusia. Gdy Adaś chciał bujać na huśtawce, prosiła kogo dorosłego, by go wysadził, a potem huśtała go cierpliwie, jak długo tylko chciał. Gdy Adaś — jak każde malutkie dziecko — mazgaił się i grymasił, starała się Wańdzia uspokoić go rozmaitemi opowiadaniami, czasem budowała mu z klocków wieże, studnie i domki, czasem wycinała dla niego obrazki ze starych gazet, bawiła się z nim w konika i w kolej. A gdy Adaś spał, nie hałasowała, by braciszka nie zbudzić tylko bawiła się sama, wyszywała coś dla lalki lub oglądała książeczkę. Naturalnie, że Adaś wszystko chciał mieć, czem się tylko Wańdzia bawiła. Wańdzia rozumiała, że to jest jeszcze maleńkie dziecko, któremu trzeba ustąpić, więc dawała mu, co chciał, tylko uważała spokojnie, by jej czego nie popsuł.

Gdy się Wańdzia czem bawiła, nigdy nie zostawiała tego w nieporządku po zabawie, ale składała ładnie i stawiała na swoje miejsce

Klocki po zabawie składała do pudełka, nakrywała wieczkiem i kładła na swojej pułeczce. Lalki Lilijki nigdy nie zostawiła na ziemi lub na krześle, lecz w łóżeczku lub we wózku. Igiełkę, włóczki i nożyczki oddawała zawsze mamusi swojej do rąk, po wyszywaniu lub wycinaniu; ołówki kolorowe chowała porządnie do piórnika, a z piórnikiem do szufladki.

Była to dla mamusi ogromna pomoc, że Wańdzia zabawki swoje sama tak porządnie składała. Mamusia nazywała dlatego Wańdzię gosposią i pomocnicą swoją, co dziewczynkę bardzo cieszyło.

Naturalnie, że gdy taka mała dziewczynka składała za sobą zabawki i braciszkiem się zajmywała — to było dla niej dość roboty na cały dzień, więc nie nudziła się nigdy i zawsze była żwawą, zadowoloną i wesołą.

W sklepie tatusia.

Tatuś Rózi jest kupcem — ma duży sklep, a w nim pełno rodzynków, migdałów, cukru, jabłek, orzechów i gruszek.

Rózia idzie czasem do tatusia, lubi zaglądać do szufladek w sklepie.

Czasem przychodzi jakaś pani i mówi:

— Proszę pana o kilo cukru.

Czasem przychodzi pan i mówi:

— Proszę pana o dwa kila jabłek.

Tatuś bierze wtedy woreczek, napełnia go jabłkami albo cukrem i kładzie na wagę, która stoi na stole.

Na wadze są dwa mosiężne talerze. Na jeden z nich kładzie tatuś jabłka albo cukier. Wtedy talerz ten prędziutko w dół opada — a drugi tymczasem idzie do góry!

Tatuś bierze żelazny ciężarek, nazywa się kilo, i kładzie na drugi talerz.

Są i inne ciężarki mniejsze, a inne większe od kila. A jak tylko tatuś ciężarek na drugi talerz położy, to on pędzi zaraz w dół — a ten, z jabłkami, podnosi się do góry. Potem kiwają się oba talerze — i stają wreszcie spokojnie.

Nieraz talerz z cukrem lub jabłkami niżej się pochyli — to znak, że jabłka cięższe są od ciężarka, więc tatuś ujmuje trochę jabłek i talerze stają równo.

Nieraz talerz z kilem niżej się pochyli — to znaczy, że kilo jest cięższe od jabłek, więc tatuś dodaje jabłek, albo szuka inny, mniejszy ciężarek. Próbuje ten, to ów — wreszcie dobry znajduje i oba talerze stają równo.

Jak talerze równo stoją, to znaczy, że jabłka i kilo jednakowo są ciężkie. Wtedy jabłka i kilo **równo ważą**.

Jak talerze równo stoją, mówi tatuś, że **waga jest w równowadze**. *B.*

Władysław Bełza.

Pożegnanie ptasząt.

Puchowe łoże,
Usłał śnieg biały;
Ptaszki za morze,
Już odleciały.

Już srebrne płatki,
Kryją dąbrowę;
Ptaki i kwiatki,
Bywajcie zdrowe!

Pomnę — na wiosnę,
Ptaszkowie leśni,
Jakże radosne,
Brzmiały tu pieśni!

A dziś szczebioty,
Umilkły wasze;
Jesienne słoty,
Biją w poddasze.

Wicher wygrywa,
Żałobne pienia,
I groźnie zrywa,
Wasze schronienia;

Roznosi słomki,
Z gniazd oderwane,
I burzy domki,
Przez was stawiane.

Ale ja na to,
Poradzę sobie;
Już ja na lato,
Gniazdko wam zrobię.

Śliczne, z pudełka,
Gniazdeczko nowe:
Do okien szkiełka,
Dam kryształowe.

A gdy ujrzycie,
Rąk moich dzieło:
To się zdziwicie,
Skąd się tu wzięło?

Bo ja was lubię,
Za śliczne pienia;
Ja was nie gubię,
Miłe stworzenia!

Ja was nie łowię,
W sidełka skrycie;
Ja was, ptaszkowie,
Kocham nad życie!

Tylko złe dziecię,
Szkodzi ptaszynie;
A ja wam przecie,
Krzywdy nie czynię!

Wydawc. i odpow. redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.** Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.